

## Dekameron 2020

dr Magdalena Bialic

### MODOWE ROZWAŻANIA W CZASACH ZARAZY

W Galerii Sztuki Dawnej Muzeum Narodowego w Warszawie prezentowana jest wspaniała suknia, tzw. *robe à la française*, będąca popisem francuskiego kunsztu krawieckiego w XVIII wieku. Strój tego typu został wymyślony właśnie we Francji, w I ćwierci Wieku Oświecenia. Aż po Rewolucję Francuską nie było bez niej wstępu na salony, bale i inne znaczące wydarzenia. Na każde ważne wyjście suknia musiała być nowa, ponieważ przynajmniej w Wersalu, dwa razy w tej samej nie można było się pokazać. Toaleta składała się z trzech części: sukni wierzchniej łączącej stanik z rozcinaną spódnicą, spódnicy spodniej i tzw. bawetu, czyli pięknie zdobionej wkładki, którą maskowano gorset. Za każdym włożeniem sukni, bawet trzeba było przypinać szpilkami, ponieważ poły stanika nie schodziły się ze sobą. Spódnica spodnia była noszona na szerokim stelażu tzw. *panier*, którego szerokość mogła sięgać nawet trzech metrów. Noszenie takiej sukni było nie lada udręką, a do tego, aby ładnie się w niej poruszać, trzeba było brać specjalne lekcje chodzenia. Początkowo była szyta z wzorzystych jedwabi i skromnie zdobiona koronką, ale od czasów Marii Antoniny królowały gładkie atłasy i jedwabie, które stanowiły tło dla najwymyślniejszych dekoracji, np. sztucznych kwiatów robionych z materiału, szklanych kulek, kokonów jedwabnika i drucików.

Patrząc na ten zachwycający popis sztuki krawieckiej, stworzony bez użycia maszyny do szycia, prawdziwy popis *hand made*, zadaję sobie pytanie: czego mi najbardziej brakuje w tych dziwnych czasach zarazy? Chyba właśnie tego, że nie ma za bardzo okazji, żeby się tak wystroić... Tylko czy

w czasach zarazy i w ogóle w ciężkich, złych czasach np. wojny, gdy umiera tyłu ludzi a przyszłość jest niepewna, warto zawracać sobie głowę wyglądem, strojem, ciuchami? Przykłady z historii mówią, że tak. Maria Antonina, która uchodziła za ikonę mody XVIII wieku, nawet uwięziona z rodziną w Temple, nie zrezygnowała z noszenia modnych strojów. Był to jej sposób walki z prymitywną modą *sansculotów* (radykałnych uczestników rewolucji, którzy ubierali się w charakterystyczny i niezbyt estetyczny sposób), przemocą oraz chaosem, który wkraść się w życie Francuzów. Oczywiście były to stroje skromne, ale nadal gustowne np. suknie w jakże modne w II poł. XVIII wieku fioletowe prążki, noszona z gazową chusteczką *fichu* i takim samym czepkiem, czy suknie w typie *chemise* z kołnierzem w angielskim stylu, w kolorze „paryskiego błota” (odmiana brązu). Nawet jej ostatni strój, który założyła w drodze na gilotynę, był przemyślaną manifestacją. Składał się z białej, prostej sukni, szala i czepka. Była królowa nie przez przypadek wybrała kolor niewinności, czystości i męczenników. Obleczona w biel stała się niebiańską, jaśniejącą figurą, której już nic nie mogło dotknąć, a strój miała onieśmielać i stwarzać dystans.

W latach 30. XX wieku Monika Żeromska, piękna i utalentowana malarka, córka pisarza Stefana Żeromskiego, lubiła się dobrze i modnie ubrać, a w swoich *Wspomnieniach* często opisuje swoje wspaniałe toalety, na które jej matka nie żałowała pieniędzy. Z modnego i kobiecego wyglądu, noszenia kolorowych sukienek i malowania na czerwono ust, nie zrezygnowała nawet w czasie wojny, co często spotykało się z krytyką, wyzwiskami, a nawet zrywaniem kontaktów towarzyskich. Monika tłumaczyła się tym, że ona w ten sposób też walczy. Dobry wygląd ma pokazać Niemcom, że Polacy to nie bezmyślna, szara siła robocza, ale ludzie, którzy też mają godność. Podobnie myśleli uczestnicy Powstania Warszawskiego. Gdy zapadł rozkaz

o kapitulacji i opuszczeniu Warszawy, powstańcy zadbali o swój wygląd, szli schludnie, czysto ubrani, aby pokazać Niemcom, że pokonali ich militarnie, ale nie moralnie, że ducha im nie złamali. Podobnym świadectwem jest zdjęcie nieznanego dziewczyny w powstańczym stroju, która przegląda się w lusterku po bombardowaniu na ul. Złotej. Ktoś się oburzy: przedsiónek piękła, a ona grzeszy niczym kobiety ze średniowiecznych personifikacji pychy, spoglądające w lusterka i zamiast swej pięknej twarzy widzące diabła. Dla mnie to nie pycha, lecz triumf ducha i młodości, powiew nadziei, że dopóki dziewczęta spoglądają w lusterka to nie wszystko stracone... Czasem było też tak, że kawałek szminki mógł naprawdę uratować życie. Zdarzało się, że więźniarki niemieckich obozów zagłady w czasie selekcji malowały sobie na policzkach rumieńce, używając do tego bezcennego kawałka szminki i unikając w ten sposób śmierci w komorach gazowych. W Anglii i w Stachach Zjednoczonych, gdzie wiele towarów było racjonowanych w czasie wojny, szczególnie materiały i akcesoria modowe, wyjątek od tej zasady stanowiły kosmetyki. Uważano, że pomalowane usta i paznokcie podtrzymują na duchu kobiety. Angielskim i amerykańskim robotnikom kazano się ubierać w drelichowe kombinezony i spodnie-ogrodniczki, ale nie zabraniano modnych fryzur i makijażu. Znakiem tamtych czasów stała się słynna Róża Nitowaczka – symbol amerykańskich kobiet, ciężko pracujących w fabrykach w czasie II wojny światowej – w roboczym kombinezonie, ale z modnie zamotaną kolorową chusteczką na włosach i starannym makijażem.

Dlatego drogie panie, jeśli zastanawiacie się czy będąc w domu na *home-office* warto założyć odświętną bluzkę – to ja mówię: tak! Czy warto umalować usta do zmywania naczyń - też mówię: tak. Bo jak już iść na gilotynę, to z fasonem, niczym Maximilien Robespierre w jedwabnym, błękitnym fraku i pończochach w paski.